

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Nowy punkt widzenia.

Wśród mnóstwa rocznic i jubileuszów, jakie wypełniają od kilku lat szare i pozbawione realnych podniet nasze życie, — poczesne miejsce powinna zająć 15-ta rocznica zagarnięcia Wilna przez bolszewików, która przypada właśnie na koniec bieżącego i początek przyszłego roku. Być może prasa wileńska przypomni ją jeszcze i zechce po swoim uczyć, ale zgóry można być pewnym, że nada jej charakter niewłaściwy.

Będzie więc mowa o „bohaterskiej samoobronie Wilna“, o kmicicowych popisach braci Dąbrowskich, o wzięciu szturmem twierdzy przy ul. Wroniej i t. p. wiekopomnych czynach. Mało komu jednak przyjdzie na myśl, że data 1 stycznia 1919 r. jest momentem przełomowym zarówno dla Wilna, które z tą chwilą utraciło swe odwieczne stanowisko stolicy Litwy historycznej, stając się igraszką rozhukanych fal dziejowych, jako też dla stosunków polsko-litewskich, w które cios bolszewicki wbił klin, coraz bardziej je rozsadzający.

Piętnasta rocznica zatargu polsko-litewskiego z natury rzeczy powinna nasunąć szereg refleksyj na temat jego powodów, jego istoty oraz bliższych i dalszych jego perspektyw. Czy w ciągu minionych 15 lat nie była to kwestja dostatecznie przeanalizowana i czy da się coś nowego powiedzieć jeszcze w tej materji? Zdawałoby się, że problem wileński i związany z nim ściśle polsko-litewski został już oświetlony gruntownie i wszechstronnie, ze wszystkich punktów widzenia: krajowego, nacjonalistycznego, imperjalistycznego, nawet klasowego, i że wszelki sąd, wszelkie orzeczenie będzie trawestacją lub odgłosem jednego z tych zasadniczych światopoglądów.

Jednakże słuszne jest przysłowie łacińskie: *quot*

capita tot sensus, Są głowy, które nie poddają się żadnym ustalonym normom rozumowania, które nie uznają żadnych utartych dróg myślenia. Mają własne, oryginalne zapatrywania, nie mieszczące się w ramach istniejących kierunków ideowych, i dają im wyraz w artykułach, pretendujących do roli rewelacyjnych.

Taki charakter ma artykuł, podpisany nic nie mówiącą literą G p. t. „Do Litwinów“ w ostatnim numerze „Włóczęgi“. Autor zwraca się w nim z następującą patetyczną apostrofą: „Miejcie wolę dobrą, Litwini, usłyszenia i zgłębienia naszych prawdziwych mniemań o zatargu, jaki dzieli i jątrzy stosunki dwu bliskich sobie dawniej narodów“. Skoro autor używa określenia *naszych*, powstaje pytanie, w czyjem imieniu przemawia. Oczywiście ma na myśli stronę polską. Ale, jak wiadomo, opinja polska bynajmniej nie jest jednolita pod tym względem. Inaczej się zapatrują na zatarg polsko-litewski endecy i wogóle nacjonałiści, inaczej imperjaliści, inaczej federaliści, jeszcze inaczej krajowcy i wreszcie wyznawcy materializmu dziejowego. Autor nie zdradza swej solidarności z żadną z tych ideologii. Wychodzi on z całkiem nowego w rozważaniach politycznych założenia: moralnego. Twierdzi on, że polskość na ziemiach Litwy ma niewzruszoną mocną podstawę moralną pod sobą w całej historii, że szowinizm litewski nie zaniedbuje żadnego chwytu przemocy, by zdławić i zniszczyć materialnie i moralnie polskość, że takie właśnie stanowisko Litwy wywołało krok Żeligowskiego i konkluduje: „W naszym poczuciu moralnem nie jesteśmy więc rabusiami cudzego mienia i posiadamy głębokie poczucie słuszności naszego stanowiska w dziedzinie najistotniejszej życia zbiorowego — moralnej. Nie mamy się czego wstydzić“.

Ocena posunięć politycznych z punktu widzenia moralności jest dziś rzadko praktykowana, cho-

ciażby z tego względu, że w opinii ogółu zostało podważone i zachwiane samo pojęcie moralności wpływającej z nakazów etyki chrześcijańskiej. Ale, jeżeli nawet nie będziemy kwestjonowali przyjętych doniedawna powszechnie w świecie cywilizowanym norm etycznych, to w żadnym razie nie da się zastosować sankcji moralnej do czynu zbrojnego gen. Żeligowskiego i wynikłych zeń konsekwencji aż do wcielenia Wileńszczyzny włącznie.

Można usprawiedliwiać „bunt” Żeligowskiego i całą komedję z Litwą Środkową racjami politycznymi, ale najbardziej stronna i pobłażliwa krytyka nie zdobyła się dotąd na aprobatę pod względem moralnym akcji posługującej się podstępem i wybiegami. Zdaje się, p. G. uczynił to po raz pierwszy.

Jest rzeczą zupełnie naturalną i zrozumiałą, że ludność polska, czy spolszczona, ale przywiązana do nabytych w ciągu wieków nowych form językowych i kulturalnych, zamieszkała na ziemiach litewskich, walcząc w obronie swej indywidualności z agresywną polityką narodową Kowna, powitała zajęcie Wilna przez gen. Żeligowskiego z radością, jako zapowiedź ułożenia się wewnętrznych stosunków narodowościowych w Litwie na podstawie równouprawnienia i zachowania przez Wileńszczyznę swego oblicza duchowego. Wtedy, w momencie wkroczenia rzekomo zbuntowanych oddziałów armii polskiej pod wodzą gen. Żeligowskiego i jeszcze przez czas jakiś potem, wiele osób w Wilnie wierzyło naprawdę w szczerość intencji i zamiarów inscenizatorów tego buntu i ubolewało nad uporem i zaciętością polityków kowieńskich, którzy woleli pertraktować bezpośrednio z Warszawą, niż z przedstawicielami Litwy Środkowej.

Ale dziś, gdy znamy już dokładnie całą stronę zakulisową tej obłudnej akcji, zmierzającej do oder-

wania Wileńszczyzny od Litwy i przyłączenia jej do Polski bez zastrzeżeń — mówić o poczuciu moralnym zakrawa wprost na cynizm, o ile nie jest bezbrzeżną naiwnością.

Czy p. G. uważa nieudany zamach P. O. W. w Kownie w r. 1919 również za posunięcie, zgodne z etyką? A popieranie pleczkajtisowców czy ma też coś wspólnego z moralnością?

Nie twierdzimy bynajmniej, by postępowanie polityków litewskich wobec mniejszości polskiej cechowały sprawiedliwość i bezstronność. Tam, gdzie wchodzi w grę egoizm narodowy lub t. zw. racja stanu, wogóle niema miejsca dla względów moralnych, gdyż wspomniane zasady w samym swym założeniu są sprzeczne z etyką ogólnoludzką. Ale też nikomu nie przychodzi do głowy szukać rozgrzeszenia dla czynów politycznych w katechizmie kościelnym, czy kodeksie honorowym.

Próba p. G. odmalowania „aspektu moralnego sprawy” jest przedsięwzięciem chybnym pod każdym względem, bo zamiast wyjaśniać i usuwać nieporozumienia, wprowadza jeszcze nowy przedmiot sporu — wyższość moralną.

Widocznie piętnaście lat zatargu to jeszcze za mało, by móc się zdobyć na sąd o nim trzeźwy i beznamiętny. Świadczy to m. inn. o aktualności sprawy.

O zająciu w Marcinkaicach mamy, jak zwykle, sprzeczne relacje. Komunikat województwa białostockiego przedstawia zającie w innym świetle, niż informacje pism litewskich.

Różnice w szczegółach nie posiadają jednak istotnego znaczenia. Czy krzyż był pomalowany tak lub inaczej, czy miał kształt ten lub inny, czy formalności, wymagane przez władze były przez ludność miejscową wypełnione, czy też nie, to wszystko są drobiazgi wobec bezspornego faktu, że krzyż został usunięty z nakazu władz administracyjnych.

Bernardyni na Litwie i Białorusi.

(D. c.).

Stojąc po przedmieściach miast większych, konwenty bernardyńskie stanowiły poza murami miasta jedyny nieraz dom Boży, który ludność przedmiejska słusznie uważała za swój kościół. Przy ówczesnej ciasnocie miast naszych, nawet sami mieszczanie wymykali się często za bramę. Śpieszący do miasta na targi wieśniacy znajdowali taki kościół bernardyński po drodze i chętnie doń wstępowali na modlitwę lub z ofiarą. Bernardyni ponadto, doceniając znaczenie ogromne pieśni religijnej, zwiększyli na Litwie i Białorusi jej repertuar (koledy). Poezja jednak bernardyńska była bezimienną, więc nie znajdziemy zgola odpowiedzi na to, gdzie, kiedy, przez kogo i t. d. została napisana ta lub inna rzecz. Jednego tylko poetę bernardyńskiego znamy po nazwisku. Jest nim br. Władysław z Gielniowa, który w r. 1498 założył konwent w Połocku i żywił pewną troskę o misję wschodnią, zapoczątkował akcję przeciw

poganom (Tatarom) i szerzył druki popularne szeroko wśród Litwy i Rusi, co pięknie świadczy o rozległości jego horyzontu. Właśnie pamiątką br. Władysława z Gielniowa są bardzo rozpowszechnione na Litwie i Białorusi śpiewane koronki.

Nie zaniedbywali Bernardyni procesyj uroczystych, które cieszyły się u nich dużą frekwencją. Wprawdzie „ustawa prowincjalna nakazywała Bernardynom podczas procesji nie spierać się o miejsca pocześniejsze, lecz ustawić, gdzie wypadnie. Pomimo to nie obywało się bez zatargów o precedencje. Wielki taki proces toczył się pomiędzy nimi a Konwentualnymi Franciszkanami w Wilnie... w latach 1541...”. „Przypisuje się Bernardynom wielki wpływ na rozwój jaselek, kolend i wogóle nabożeństw Bożego Narodzenia, jaka tradycja przetrwała w naszych kościołach po-bernardyńskich po dziś dzień”.

Przytoczone wyżej, to jeszcze jeden dowód, że Bernardyni nasi byli wybitnie popularnym zakonem, przemawiającym w swych kazaniach i całej działalności językiem odpowiednim dla człowieka ówczesnego. Jednym z wybitniejszych kaznodziejów bernardyńskich w Wilnie był Mikołaj z Sokolnik (1501 czy 1511) który też pracował jako pisarz. Jego

Jest rzeczą niezmiennie charakterystyczną, że w prasie polskiej fakt ten nie wywołał żadnych komentarzy. Czyżby dlatego, że jest aż nadto wymowny sam przez się?

Usunięcie krzyża odbyło się bez sprzeciwu ludności. Mimowoli jednakże ciśnie się na usta pytanie, do czegooby doszło, gdyby ludność stanęła w jego obronie? Czy nie powtórzyłaby się wówczas w miniatursze historia Krożańska?

Wypadek więc nie jest tak błahy, jak z pozoru się wydaje, i wielka szkoda, że wpływowe organy polskie nie poświęciły mu takiej uwagi, na jaką zasługuje.

Nie wybierali, a wybrali.

Obowiązujący u nas samorząd wiejski już dawno przestał interesować społeczeństwo, jako instytucja uzależniona od administracji państwowej i pozbawiona zupełnie samodzielnego oblicza. W pojęciu przeciętnego obywatela wiejskiego samorząd sprowadzony został do roli zwykłego urzędu państwowego, przesiąkniętego biurokratyzmem, na działalność którego w żadnym stopniu opinia miejscowa oddziaływać poważnie nie może. Wybrane przed wielu laty sejmiki powiatowe i rady gminne, oddawna nie odnawiane, stały się jakimiś permanentnymi kolegiami, nie mającymi żadnego prawie wpływu na funkcjonowanie tych samorządowych instytucji, a przykrywającymi tylko formalnie nieskrępowaną działalność administracji państwowej. Nawet zewnętrznie samorządy powiatowe, czyli tak zw. sejmiki, zupełnie zespoliły się z urzędami starościńskimi, mieszcząc się w tych samych lokalach i posługując się tymi samymi często urzędnikami. Pana starostę uważa się za jedyną osobę, mającą i tu i tam głos decydujący. Przyzwyczajono się do tego, że samorząd powiatowy, — to pan starosta, a samorząd gminny — to pan wójt, od tegoż starosty zupełnie uzależniony i stający przed nim na baczność.

Lecz oto rozległa się nagle pobudka, wzywająca do nowych wyborów, które miały być przeprowadzone w myśl nowej ustawy samorządowej. Na-

turalnie, że skomplikowanych artykułów nowej ustawy samorządowej nikt z ludzi wiejskich nie czytał, a przeto nikt nie orjentował się dokładnie w istocie zmian, które nowa ustawa wnieść miała do ustroju samorządowego, a tembardziej do zawilej procedury wyborczej. Ale zapowiedziane wybory poruszyły poniekąd wieś, która stale jest w oczekiwaniu „niejakoj pieramienu”.

W sferach bardziej uświadomionych stało się wiadomem, że organizacją wyborów zajmie się B. B. W. R. Nikogo to nie dziwiło i nie oburzało. Blok Bezpartyjny jest dostatecznie mocno usadowiony na wiejskim gruncie, aby fakt ten mógł wywołać jakieś sprzeciwy. Wieśniacy przyzwyczajają się do pewnego porządku rzeczy. Orjentują się w tem, że partje zostały zlikwidowane, że innych, poza B. B., czynników politycznych na wsi niema. Więc i zapowiedź, że wybory będą prowadzone pod patronatem B. B. W. R. leżała w porządku rzeczy. Tam i ówdzie jakaś jacejka endecka ma wprowadzić swoje wpływy — ale wobec potęgi B. B. są to drobiazgi.

Wybory na wsi posiadają zawsze pewną atrakcyjność. A zwłaszcza zapowiedziane wybory gromadzkie, najbliższe może obchodzące w dzisiejszej sytuacji politycznej wieśniaka — nie mogły nie wywołać pewnej sensacji w zatęchłej atmosferze wiejskiego życia. Tembardziej, że wybory do nowoustanowionych gromad wiejskich wzbudziły u starszych przyjemne reminiscencje dawnych „schodów”, gdzie wielkiej polityki nie uprawiano, lecz na których można było dokonywać podczas wyborów porachunków lokalnych. Więc oczekiwano tych wyborów z zainteresowaniem.

Na tem tle zaczęły się jednak dziać wypadki przez ogół wioskowy nie przewidziane i niezrozumiałe. Pierwsze zastrzeżenie wzbudził fakt, że w bardzo licznych wypadkach, a w pewnych miejscowościach masowo, na tak zwanych wybranych mężów zaufania powoływano nauczycieli z pominięciem miejscowych gospodarzy. Nauczycielstwo nie zdobyło jeszcze zaufania, stanowiąc na wsi element obcy, nie związany z miejscowem społeczeństwem

wileńskie kazania streścił w druku pewien kronikarz zakonny, co jest wyróżnieniem.

Równie gorliwie pracowano *in foro interno*. Tu znowu się wyróżnił w Wilnie ceniony kierownik sumienia Stanisław de Hvyra (Hryma?). Korzystano z ich pomocy nawet na dworze królewskim dość często zjeżdżającym to do Wilna, to do Grodna.

Osobną kartę w życiu Bernardynów na Litwie i Białorusi stanowią ich zasługi nad rozszerzeniem i pogłębieniem kultu marjańskiego. Kulminacyjnym w ciągu roku punktem jego był (8 grudnia) fest Niepokalanego Poczęcia N. M. P. połączony z *Quadragenta horarum*, w którym to obchodzie towarzyszyły nawet *theatra* i ognie sztuczne, wewnątrz i zewnątrz kościoła.

Sami żyjąc z jałmużny i kwesty, Bernardyni mieli nieraz bogatych ofiarodawców i ofiarodawczyń, co pozwoliło im trzymać rękę i serce szeroko otwarte dla biedy i nędzy ludzkiej. Przeobficie dawano jałmużny u furty.

Wiek XV—XVI na Litwie i Białorusi są okresem powstawania przeróżnych konfraterni (bractw). Nie dają się wyprzedzić i Bernardyni i przed r. 1500

zakładają w Wilnie bractwo św. Anny, a w r. 1508 także zakłada Rafał z Proszowic w Kownie. Wileńskie bractwo, będące w roku wymienionym już w pełnym rozwoju, było u nas bodaj pierwszym tego rodzaju. „Postępowanie samodzielne jego względem Bernardynów zdaje się wskazywać na to, że nie zakonnicy je założyli, lecz że powstało niezależnie od nich i dopiero potem udało się pod ich opiekę”. Poważne dowody przemawiają za tem, że niemiecka kolonia w Wilnie, idąc za przykładem miast niemieckich, gdzie już pod koniec w. XV był wielki kult św. Anny i istniały już takie bractwa, zapragnęła przenieść tę instytucję na grunt wileński, a że była zamożna i rządna, sprawa poszła łatwo. „Że Bernardynów właśnie Niemcy obrali sobie, może zależeć nie tylko na tem, że był to podówczas czołowy Zakon, ale także ponieważ rozporządzał zastępem Niemców księży”. Pochodzili oni z miast, gdzie w XV w. żywioł niemiecki był wogóle silny, a znajomość języka niemieckiego częsta. Po krótkim okresie rozkwitu bractw św. Anny, zaczęto na nie narzekać tak w Niemczech, jak i u nas. Przyczyną było odciąganie parafjan od kościołów farnych do konwentów bernardyńskich. Tak się odnowił na

wiejskiem i — powiedzmy otwarcie — nie lubiany. Sprawy gromadzkie, są to sprawy swoje, domowe, więc wtrącanie się do tych spraw nauczycieli, w roli organizatorów i nadzorców, było uznane jako wyraz pewnej nieufności władzy do miejscowego elementu wiejskiego. To się nie podobało. Nie wzbudzała również ufności tajemniczość, jaką przygotowania do wyborów zostały otoczone. Nikt nic dokładnie nie wiedział, ani o dniu wyborów, ani o sposobie ich przeprowadzania.

Jednakże, gdy dzień wyborów w tempie przyspieszonym ogłoszono — ludzie na wybory ruszyli łąwą. I tu nastąpiło coś takiego, czego wioskowe społeczeństwo nie mogło zrozumieć i czego się nie spodziewało. Albowiem, na zapowiadzianych wyborach — nie było wcale wyborów. Zebrany odczytywano listę kandydatów, o której przedtem nic nie słyszeli, wyjaśniano, że innej listy nikt nie złożył, lub ktoś tam złożył, lecz nie formalnie — i ogłaszano, że odczytani z listy kandydaci zostali wybrani do rady gromadzkiej. Ludzie przyszli wybierać, a tu im mówią, że wybierać nie będą, gdyż już sprawa jest załatwiona bez „wybierania”. Ludęk zwołany na wybory ogarnęła, rzecz prosta, konsternacja, nie mogli sobie wyrozumieć takiej sytuacji, żeby wybory obeszły się bez wybierania. No ale rozeszli się, rzecz prosta, do chat bez szemrania, lecz z poczuciem doznanego zawodu. I długo gwarzono po wsiach, „jak to wyszło”, że nie wybierali, a wybrali.

Sens procedury wyborczej wyborcy właściwie uświadomili sobie po fakcie wyborów. Jako refleksje nastąpiły tam i ówdzie protesty, czy zażalenia, składane władzy, w których najczęściej powoływano się właśnie na nieświadomość procedury wyborczej. No, ale żale były po niewczasie, a takie protesty, jako zwykle nieformalne, nie były, rzecz prosta, uwzględniane.

To też po „wyborach” pozostał powszechny niesmak, właściwie poczucie, że z gromady wyborców ktoś sobie zakpił, czy też nabrał na kawał. Nawet całkowicie rządowi i B. B. oddani ludzie nie ukrywali się z wyrażeniem tego uczucia. Mówi się,

a właściwie szepcze się dosyć dużo o rozmaitych nadużyciach na tle wyborów. Wydaje się jednak, że nadużyć, w sensie formalnym, było nie wiele i nie one decydowały o wyborach. Sens właśnie na tem polega, że było prawie wszystko „formalnie”. Ale wszystkim stało się jasnym, że ta „formalność” przykrywała zasadniczo jedno tylko, ale nieformalne, nadużycie — nadużycie nieświadomości wyborców.

Powstaje pytanie, czy tak pomyślany proceder wyborczy wpłynął zasadniczo na potrzebną dla rządu fizjognomję nowoobраниch rad gromadzkie? Ludzie, znający stosunki wiejskie powiadają, że gdyby wybory odbywały się w trybie zupełnie liberalnym, bez tego tricku z przedstawianiem wyborcom jednej, zgóry ułożonej listy, to wynik wyborów byłby mało odmienny. Prawdopodobnie — zwłaszcza przy łagodnym nacisku administracji i tegoż B.B. — do gromad wiejskich trafiliby prawie ci sami ludzie, którzy zostali umieszczeni na listach bezkonkurencyjnych. A jeśliby powstały pewne rozbieżności co do ludzi, to w każdym razie bardzo nieznacznie i nie mogące mieć wpływu na układ przyszłego samorządu.

Więc poco tym wyborom nadano taką niemiłą dla wiejskich wyborców formę? Trudno na to odpowiedzieć. Prawdopodobnie dlatego, że rzekomo oparty na zaufaniu mas Blok Bezpartyjny, nie ma do tych mas zaufania. Być może, że „instrukcje” z góry były wydane zbyt krępujące i zbyt rygorystyczne — dla wykonawców. W każdym razie można śmiało powiedzieć, że w tym wypadku organizatorzy wyborów „piereusierdstwowali”. Robota była zrobiona dobrze... ale nie gładko.

Nowa ustawa samorządowa nie tylko nie wnosi jakichś rozszerzeń samodzielności samorządów wiejskich, lecz przeciwnie bardziej je wiąże z administracją i bardziej jeszcze od niej uzależnia. Tak czy owak przeprowadzone wybory nie odnowiłyby samorządu. Ale, jeżeli chodzi o zaufanie do tej instytucji, to dokonane wybory zgóry to zaufanie przekreśliły.

Bardzo charakterystyczny jest udział nauczycielstwa ludowego, które gorliwie pełniło rolę „orga-

Litwie wiekowy spór między klerem świeckim a mendikantami, czyli zakonami żebrzącymi.

Jak zaznaczyliśmy wyżej, na Litwie i Białorusi pierwszy rok istnienia samodzielnej prowincji dał klasztory w Wilnie i Kownie, poczem przybył Tykocin*) w 1479 r., a za Aleksandra Połock w 1498 r. Tenże król usiłował nakłonić bogatego opata mogińskiego do założenia konwentów bernardyńskich na ruskim wschodzie, lecz spelzło to na niczem. Mimo paru już wieków od chrztu Litwy i Żmudzi, mimo zależnej od Carogrodu hierarchji dyzunickiej, na Litwie i Białorusi znajdowały się jeszcze *gniazda nieochrzczonych zgoła* Litwinów i Białorusinów, nie raz o obyczajach pogańskich lub nawet *dwuwiernie*. „Unja Florencka nie była się przyjęła” na naszych ziemiach, a ślady hierarchji unickiej były nawpół zatarte. Tak więc przed Bernardynami otworzyło się na wstępie podwójne pole do pracy, czyli akcja *wewnętrzna* wśród rozproszonych w morzu ruskiem łacinników i *zewnątrzna* wśród Rusinów wszelkiej

barwy i wielkości. Podjęli się obu. Ponieważ ów cześni Polacy nie uważali za ważny nawet chrztu Rusinów, a to dlatego, że nie był udzielany według formuły łacińskiej, Bernardyni widzieli się rychło zmuszeni udać się do Stolicy Apostolskiej, jako że byli wręcz innego w tej sprawie zdania i pełni uniwersalizmu katolickiego. I tu zaszedł epizod, o którym przed kilku laty na tem miejscu daliśmy krótki a zwięzły artykuł, którego powtarzać nie będziemy. Nadmieniamy tylko, że Bernardyni wileńscy odnieśli w tym wypadku w Rzymie wspaniałe zwycięstwo. Rzym opowiedział się wyraźnie a niedwuznacznie po ich stronie, przekreślając *eo ipso* błędne a ciasne stanowisko świeckiej akademii krakowskiej i kapituły wileńskiej. Delegatami *ad hoc* byli Kobyliński i Stanisław z Słap, do których zagranicą dołączył się prowincjał Marjan z Jeziora, — wszyscy znani Wilnu a wybitni ojcowie.

Opuszczamy historję Bernardynów na ziemiach czerwonoruskich, przyjrzymy się tylko jakimi torami poszedł rozwój klasztorów litewskich.

Na objęcie świeżo wzniesionego konwentu Bernardynów w Wilnie wysłano z kapituły warszawskiej 6 stycznia 1468 r. Reya. „Był to siódmy kościół

*) Ówczesny Tykocin leżał wśród ludności białoruskiej wyznania dyzunickiego (*iuxta schismaticos Ruthenos noncupatos*, jak pisał pap. Sykstus IV do Gasztolda).

nizatorów" tych tajemniczych wyborów. Z tego udziału nauczycielstwa w wyborach można wysnuć dwa wnioski: 1) że nauczycielstwo nie cieszy się wśród wiejskiej ludności żadnym zaufaniem i 2), że dzięki swej gorliwości wyborczej poderwało swój, choć słaby, dotychczasowy autorytet.

Gudas.

Odwracanie uwagi.

Białorusini z tej strony granicy z żywym zainteresowaniem śledzą bieg życia w Białorusi Sowieckiej. Niemal każde posunięcie władz B. S. S. R., każdy przejaw niezadowolenia ludności jest tutaj obszernie komentowany. Większość pism białoruskich w Wilnie wykazuje dziś zaostrenie kursu antysowieckiego.

Ostatnimi czasy, jak wiadomo, niemało narobiła hałasu skandaliczna reforma pisowni i gramatyki białoruskiej, dokonana z rozkazu sowieckich władz administracyjnych. Nie brakło z tej racji w Wilnie protestów, uchwał i dyskusji o charakterze teoretycznym. Niemało zresztą pisało się o tem w prasie polskiej. Niedawno sprawa ta znalazła też pewien oddźwięk w Klubie Włóczęgów w postaci referatu Białorusina p. Wincentego Hryszkiewicza na temat „Metody walki z kulturą białorską w B. S. S. R.". Sądząc ze sprawozdania prasowego, zamieszczonego w „Kurjerze Wileńskim" z dn. 11 b. m., p. Hryszkiewicz, poza ogólnie znanymi faktami, niczego nowego do całej sprawy nie dorzucił. Przypominał zebrany o walce bolszewików z nacjonalizmem i demokratyzmem białoruskim, o obozach koncentracyjnych, kazamatach, o usuwaniu z półek księgarskich dawniejszego dorobku literackiego i dawniejszych podręczników szkolnych jako szkodliwych i wreszcie o reformie pisowni, jako przejawie rusyfikacji.

P. Hryszkiewiczowi jak i innym surowym krytykom reżymu sowieckiego można i należy wybaczyć całą jednostronność, nie wyłączając możliwej przesady przy nakładaniu czarnych farb na szare i za-

gadkowe płótno sowieckie, przedewszystkiem dlatego, że w twierdzeniach o ucisku politycznym za czerwonym kordonem jest niewątpliwa prawda. Że w Z. S. S. R. niema wolności słowa, druku, zebrań, sumienia, że zwalcza się surowo nacjonalizm i demokratyzm — temu oczywiście nie zaprzeczą i sami bolszewicy. Dziwnem byłoby, gdyby działa się tam inaczej. Prawdą jest również, że reforma pisowni białoruskiej, niezależnie od takich czy innych intencji inicjatorów, jest niewątpliwie w swoich skutkach zbliżaniem języka białoruskiego do rosyjskiego. Nie spodziewamy się również, by w szkołach sowieckich zamiast komunizmu raptem zaczęto uczyć katechizmu.

Są jednak pewne okoliczności, które tuszują, niwelują, zagłuszają ten antysowiecki hałas, a na jego twórców zmuszają spoglądać wzrokiem nieco ironicznym. To przedewszystkiem „okoliczność miejsca i czasu".

Chodzi o to, że niektórzy przedstawiciele ludności białoruskiej z tej strony kordonu występują z zarzutami tłumienia kultury białoruskiej w kraju, gdzie istnieje około 7 tysięcy początkowych szkół białoruskich, wówczas gdy na terenie przez nich reprezentowanym niema ani jednej szkoły powszechnej białoruskiej, w pełnem tego słowa znaczeniu. Cóż za pociecha z najbardziej naukowej i słusznej pisowni, gdy jej niema gdzie nauczać? Czy więc protesty i anatemy w tych warunkach są wskazane? Czy nie większy byłby pożytek z podkreślania tak horendalnego stosunku zera do 7000?

Kto zapomina o drugiej stronie medalu, ten przyczynia się mimowoli do utrwalenia opinii, że w B. S. S. R. szaleją czerwony terror, gwałt, ucisk, nędza i głód, natomiast na zachód od kordonu wszechstronnie zapanowały oświata, tolerancja i błogi dobrobyt.

Białorusinom nie brak powodów do okazywania niezadowolenia z systemu rządzenia nad lwia częścią swego kraju w Sowietach, niestety sytuacja Białorusinów w granicach państwa polskiego jest tego rodzaju, że akcja protestacyjna przeciwko metodom stosowanym w B. S. S. R. jest wodą na młyn

litewskiej stolicy" mówi ks. Kantak. Po fundacjach w Kownie i Tykocinie, urządzono osobny *komisarjat litewski*, na którego czele stanął, jako komisarz i gwardjan wileński Anioł z Ostrowa. Tak się zaczął długi ich szereg, który trwał aż do kasaty. Nie brakło wśród nich ludzi wysoce cnotliwych, tegich administratorów, mężów nauki. Szczególniejszym dobrodziejem Bernardynów był Marcin Gasztold, który zostawszy wojewodą kijowskim, zabrał w r. 1471 w swoim orszaku kilku Bernardynów z Wilna do Kijowa, gdzie „przebywając między schizmatykami Rusinami, wielu z szlachty i pospółstwa doprowadzili do uznania zwierzchności Papieża dobrym przykładem i nauką". Mimo wielkiego powodzenia, Konwentu atoli w Kijowie nie założyli, może nawet nie myśleli zakładać. Ten duży sukces Bernardynów wileńskich w *macierzy miast ruskich* przemawia za tem, że nasi misjonarze nie wymagali wcale od zjednoczonych Rusinów przyjęcia obrządku łacińskiego. „Taka postawa znajdowała się w jaskrawej sprzeczności z stanowiskiem duchowieństwa świeckiego, zwłaszcza Kurji wileńskiej, mającej chrzest grecki za nieważny. Wobec tego wolno mniemać, że ożywienie ruchu unickiego na przełomie w. XVI należy przy-

pisać właśnie naszym zakonnikom. Roku 1471 jeden z panów ruskich Iwan Aleksandrowicz z Poczipowa, wraz z bratem swoim Sołtanem, udali się do Rzymu, gdzie nie wymagano powtórnego chrztu, lecz poprzestano na wyznaniu wiary. Odbyli pielgrzymkę do Jerozolimy. Tam Sołtan został rycerzem Grobu św. Skoro powrócili do Wilna, nie chciano ich uznać za katolików! Kaznodzieja katedralny na ambonie wystąpił przeciw Sołtanowi, nie wahając się nazwać go psem. Tak potraktowany odpadł z powrotem do schizmy. Dopiero na łożu śmiertelnem wszedł w siebie i kazał wezwać Bernardynów, ale służba ich nie dopuściła. Na ich (Bernardynów wileńskich) to robotę wygląda nawrócenie obu wielmożów, przynajmniej przygotowanie; zwłaszcza pielgrzymka do Ziemi Św. Świadczy o tem na ich korzyść także, że sekretarz Aleksandra Iwan Sapieha przyjął unję w r. 1491 w Rzymie.

„Postawiono nawet hipotezę, że oni to pośredniczyli w wydaniu *Oktoichu* w Krakowie tegoż roku 1491. Zdanie to popiera okoliczność, że nakładca druku Jan Turzon był syndykiem krakowskiego konwentu. Znamienna, że prymas Oleśnicki z kapi-

tych, którzy chcieliby tutaj Białorusinów wogóle nie widzieć a w najlepszym razie przykuć ich uwagę do faktu, że „tam jest gorzej”. A więc „bądźcie zadowoleni z tego co macie”, a właściwie z tego, że nic nie macie.

Stąd wniosek: urabianie opinii o ucisku kulturalnym Białorusinów w B. S. S. R., niezależnie od słuszności tej opinii, w obecnych warunkach u nas, i to w czasie, kiedy po zawarciu ugody polsko- sowieckiej pośród Białorusinów przytępiły się sympatie filosofieckie, — należy uznać za zbyteczny i niepotrzebny wysiłek ze strony Białorusinów.

Lepiejby było, jak się zdaje, pozostawić to zadanie ludziom i grupom ad hoc powołanym, a przede wszystkim tym, w których interesie ono leży.

Al. S.

Jak wychowywać człowieka i obywatela?

Nie tak dawno p. Hel. Romer na szpaltach „Kurjera Wileńskiego” zamieściła płomienne wezwanie p. t. „Wychować człowieka i obywatela”. Autorka, wychodząc z założenia, że nauka języka polskiego w szkołach postawiła nauczycielstwu za zadanie „*wychować człowieka i obywatela, przez wpojenie świadomej miłości języka ojczystego i kultury narodowej*” a na jej gruncie szczerzenie i pielęgnowanie ogólnoludzkich ideałów religijnych, etycznych, naukowych i estetycznych”, szeroko się rozwiodła nad potrzebą zreformowania nauki języka polskiego w szkołach mniejszościowych w kierunku oparcia jej na pierwiastkach miejscowych, związanych z daną narodowością. Tą drogą autorka ma nadzieję rozbudzić w młodzieży litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej i t. d. przywiązanie do Polski i państwowości polskiej.

Mam pewne wątpliwości, czy cel zamierzony

da się osiągnąć za pomocą tak prostego środka, jak zastąpienie Konopnickiej przez Syrokomlę, chociaż oczywiście zalecana przez p. H. Romer reforma nauczania języka polskiego, której jakoby gorącym rzecznikiem jest kurator wileński p. Szelański, zasługuje zewszecmiar na uznanie i poparcie, i to nie tylko w zastosowaniu do szkół mniejszościowych, ale i wszystkich wogóle szkół, znajdujących się poza terenem Polski etnograficznej. Niedostateczna znajomość twórczości pisarzy, zrosniętych z gruntem litewsko-białoruskim, czyni przeciętnego naszego maturzystę nieraz obcym i nieodczuwającym własnego środowiska.

Jeżeli jednak chodzi o młodzież niepolską, to czy nie jest rzeczą o wiele ważniejszą, ze względu na wychowanie „człowieka i obywatela”, nauka języka ojczystego, niż taka lub inna nauka języka państwowego? Boć jeśli do tego ideału — jak głosi zacytowany wyżej program — należy dążyć przez wpajanie *świadomej miłości języka ojczystego i kultury narodowej*, to przecież nie można tego wskazania interpretować wyłącznie w odniesieniu do języka polskiego. Zasada jest zasadą, i nie można nią operować dowolnie, uznając jej słuszność w jednym wypadku i odrzucając ją bezceremonialnie w innych, w zależności o jaki język chodzi: narodu panującego: czy mniejszości narodowych.

O nauczaniu zaś języków ojczystych w szkołach niepolskich w artykule p. H. Romer nie znajdujemy ani słówka. Zapewne dlatego, że z tej nauki trudno wydobyć jakieś argumenty na rzecz tezy, że „tradycje narodowe (owych 30% ludności), ich los był i jest związany z Polską i pod jej opieką się rozwijał”. Co prawda, nie bardzo rozumieć również, jakie to utwory literatury polskiej mają wpajać w uczniów podobne przekonania. Chybaż nie „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza, nie „Witolauda” Kraszewskiego i nie „Ulas” Syrokomli?

Po co ta egzageracja? „Skierować narodowości niepolskie ku Polsce ich narodowymi drogami” — jak chce tego p. H. Romer — jest wogóle niemożliwością. Trzeba przecież raz sobie uprzytomnić tę prawdę, że dzieci litewskie będą zawsze tęskniły do

tułą wzbronili wolnego tłoczenia i rozpowszechniania książki.

„Zagadnienie unickie i sprawa rebaptызacji rozgorzały dopiero na dobre po zgonie Kazimierza, kiedy Aleksander objął Wielkie Księstwo w r. 1492, a zwłaszcza gdy pojął w małżeństwo Helenę Iwanównę (1474—1513). Przybyła do Wilna w lutym 1495. Wiadomo że przy układach przedślubnych wymówił Iwan dla Heleny i jej dworu swobodne wyznanie religii greckiej, a nawet żądał wystawienia cerkwi prawosławnej na zamku wileńskim. Z drugiej strony Aleksander uzyskał od Aleksandra VI dyspensę na małżeństwo tylko pod warunkiem, że będzie się starał wszelkimi sposobami doprowadzić żonę do jedności Kościoła. Położenie księcia więc było fałszywe, a Heleny przykre. Ale na domiar złego, jeśli Stolica Apostolska miała na oku uznanie zwierzchności Papieża, pozostawiając obrządek na uboczu, to duchowieństwo wileńskie na biskupem Wojciechem Taborem (1491—1507) na czele wcale się nie tało z tem, że nie uważa zgoła za ważny chrztu Heleny, za czem szło logicznie, że byłaby naprawdę poganą. W takim stanie rzeczy sekretarz Aleksandra i proboszcz katedralny wileński Erazm

Ciołek musiał wysilać całą swoją niepospolitą sztukę dyplomatyczną, aby pośredniczyć pomiędzy ówczesnym biskupem, a te okoliczności niezawodnie spowodowały jego poselstwo do Stolicy św. r. 1501.

„W przeciwieństwie do duchowieństwa świeckiego, Bernardyni uznawali ważność chrztu greckiego i publicznie głosili, że „obrządek i sakramenta Rusinów są ważne i prawidłowe”, co miało wywołać wielkie zgorszenie wśród wiernych, ale w rzeczy samej należy to zgorszenie rozumieć raczej jako oburzenie w kurji biskupiej, tem większe, że bezsilne, bo zakonnicy nie podlegali zwierzchności diecezjalnej. Nie wiemy niestety konkretnie, kto z pomiędzy nich głosił takie „zgorszenie”, może to był Mikołaj z Sokolnik”.

(D. c. n.)

Litwy, a dzieci białoruskie i ukraińskie będą marzyły o niepodległej Białorusi i Ukrainie. Żadne sztuczki ani zabiegi tego naturalnego popędu nie wykożenia i nie wypaczą. Za pomocą racjonalnych metod szkolnych można jedynie nauczyć młodzież inoplemienną, by poznawała, bez uprzedzenia kultury polską i umiała odróżnić w niej zdrowe ziarno od plew.

Ale co to ma wspólnego z „wychowaniem człowieka i obywatela”? Cel ten może osiągnąć najłatwiej szkoła narodowa, ale właśnie p. kurator wileński, jak wykazuje praktyką, jest jej zdecydowanym przeciwnikiem...

K. W.

Kawaler Złotego Krzyża Zasługi.

(List ze Słonima).

Wszyscy uczeni polscy, wszyscy publicyści, całe duchowieństwo rz. i gr.-katolickie w Rzeczypospolitej są uważani u nas przez prawosławnych działaczy i pisarzy za zasadniczo wrogie rosyjskości i prawosławiu. Jedyny wyjątek stanowi *szlachetny antagonistą działaczy unijnych, zasłużony historyk i profesor, p. W. Charkiewicz* (warszawskie „Słowo”, i „Woskresnoje Cztiénje” *passim*). Wszystkie więc nasze powagi orjentujące się nie na Rzym, darzyły go uznaniem i wieńczyły go wawrzynem. Mąciły wprawdzie często tę błogą pewność siebie p. Ch. niejednokrotne sprostowania i odwoływania przeróżnych jego zapędów i zagalopowań się w prasie, jednak przyznać też trzeba, że wiele jeszcze innych wybrków jego pióra nie zostało dotychczas odwołanych i naprawionych. Dziś mamy wrażenie, że niedawne wypadki w Poczajowie i Żyrowicach nieco wytrzeźwiły p. Ch., co się odbija może na ocenie przezeń różnych zdarzeń tak przeszłości, jak terażniejszości.

Zastanowimy się tu nad ostatnimi wypadkami w Żyrowicach.

Sam p. Ch. przyznał się niedawno na szpaltach wileńskiego „Słowa”, że podobno b. szkodził ex-ihumenowi klasztoru żyrowickiemu, o. Onufremu Stopnickiemu, ogłaszając światu, że jest rodowitym Polakiem. Ponieważ ten archimandryta miał w Żyrowicach wielkie dochody z monasteru, a przez artykuły p. Ch. w „Słowie” (por. Nr. 295 z r. b.) stracił je na zawsze, należałaby się srodze poszkodowanemu restytucja pieniężna ze strony ich autora. Ale p. Ch. niesłusznie przypisuje sobie winę, tembardziej, że o. Stopnicki nigdy Polakiem nie był i nawet za takiego nigdy nie uchodził. Liczni u nas duchowni prawosławni o polskich nazwiskach podają się obecnie za Polaków, by uśpić polską podejrzliwość i móc co rok, bez żadnych przeszkód, 5 listopada święcić zwycięstwo Moskalów nad Lachami pod Moskwą, Smoleńskiem i Pskowem! Na wspomniane święto corocznie przyjeżdża właśnie do Żyrowic archirej grodzieński Aleksy (Gromadzki), którego wita zwykle delegat starosty słonimskiego, ofiarowując do dyspozycji auto powiatowe. Bezstronność władz administracyjnych w tym wypadku jest istotnie bez zarzutu.

Nie należy więc tak, jak p. Ch., zbyt się rozczulać nad losem *księży prawosławnych o polskich nazwiskach*, bo to im nie przeszkadza nienawidzić z całej duszy Polski, nawet wtedy, gdy dla

podkreślenia swej lojalności, śpiewają polskie hymny narodowe i piją zdrowie dygnitarzy powiatowych. Toż nawet słynny przed wojną archimandryta Witaljusz uważa już siebie dziś za... Polaka i dostał w Pradze Czeskiej, w tamiecznym konsulacie polskim, pozwolenie wysyłania do Rzeczypospolitejszych wymierzonych przeciw Kościołowi wydawnictw, mimo że tak niedawno był atakowany przez „Słowo” (Nr. 3433 z r. b.). Umiał też *bláhoczynnyj* z Byteniaswá malowaną polskością zaskarbić sobie takie łaski starostwa słonimskiego, że dostąpił nawet zaszczytu otwierania i zamykania różnych polskich uroczystości narodowych i... fotografowania się na czele katolickich dzieci szkolnych! Tak wyglądają ci *novissimi Poloni*.

Co się tyczy zaś specjalnie o. Onufrego Stopnickiego, to niech sobie piewca ziemi Słonimskiej, p. Ch. zanotuje, że ten Polakiem się nie urodził, Polakiem nie jest i być nim jawnie nie chce, skoro najszczerzej się wyraża o Słonimszczyźnie: *eto ruskaja kazionnaja ziemia!* Prawda, pradziad o. Stopnickiego był przed pięćdziesięciu laty władzą przemyskim obrz. gr.-k. ale toby raczej przemawiać mogło, że to ród ukraiński, którego epigonowie rozproszyli się dziś w wielkorosyjskości. Będąc właśnie proboszczem prawosławnym w Jeziornicy koło Słonima, ten osobliwy Polak, stale szykanował i sekował polskie dzieci szkolne, a działo się to wszystko b. niedawno, bo w r. 1926. Gdy p. Ch. w „Słowie” nieustannie rozdziera szaty z tego powodu, że akcja unijna ruszczy Słonimszczyznę, „Polak” o. Stopnicki w r. 1925 ostrzegał w swoich kazaniach parafjan słonimskich przed unją, jako *forpoczta polskości!*

Przedstawiony niedawno przez wojewodę nowogródzkiego do odznaczenia i rzeczywiście odznaczony, nowy kawaler złotego krzyża zasługi o. Stopnicki postradał w r. b. ihumenostwo w Żyrowicach nie za *nieszczęście uważania się Polakiem* i nie za wychwalaną w „Słowie” przez p. Ch. pobożność, lecz dla przyczyn, które wcale nic nie mają wspólnego ani z narodowością, ani z polityką, ani z pobożnością... Celowo zamilczamy je tutaj, przez szacunek dla sędziwego wieku i kapłańskiej godności o. Stopnickiego. Nie możemy jednak pominąć tego że klasztor, w którym poszczególni mnisi mogą trzymać dla siebie służące, acz zamieszkałe osobno, posiadać w celi np. własne samowary lub prymusy, zasługuje tylko na miano *kurnika*, niezależnie od tego, do jakiego on wyznania lub obrządku należy.

Nic tedy dziwnego, że antagoniści o. Stopnickiego drogą jakiejś *pałacowej rewolucji*, tak charakterystycznej dla obecnego stanu wewnętrznego prawosławia u nas, dość łatwo potrafili złożyć go z urzędu ihumena, zwłaszcza jeżeli fartuszki za nich wtrącały się do zarządu klasztorowego, a nawet do życia liturgicznego w przesławnej cerkwi żyrowickiej. Sarkała też na krzywdy materialne bracia zakonni.

Przy sposobności warto poruszyć kwestję ogólniejszej natury. Często gęsto p. Ch. nazywa Poczajów i Żyrowice... twierdzami Unji. Być niemi mogły i powinny być, lecz, niestety, nie były! Chociaż wychowały wielu ukrytych od świata a światobliwych mnichów... Były to raczej zamki na lodzie. Stopniał lód i — zginęły wraz z całą załogą. Najgłośniejszą tego przyczyną było spreczne oblicze Unji Brzeskiej, występującej niepotrzebnie pod sztandarem polskości. Tendencjami polonizatorskimi prze-

siągnięci byli senatorowie w infulach, magnaci, wrzście polsko-unickie duchowieństwo, z dawnymi Bazylianami na czele. Wszystko to przeszło do katolizacji ludu białoruskiego, dając mu nieraz tylko pozory religijności, zamiast jej treści. Nauczony w obcym języku, lud unicki nie poznał ani dogmatów katolickich, ani błędów dyzunickich, ani wrzście różnic między dyzunją a katolicyzmem. Biskup Likowski biadał nad tem, lecz zapóźno.

Dzisiejszą akcję unijną na Białorusi mrozi i paraliżuje oczekiwana z utęsknieniem przez nacjonalistów polskich jej polonizacja. Toż tyle razy p. Ch. w „Słowie” pisał, że *Unja Brzeska nie spełniła pokładanych w niej nadziei!* Oczywiście, nie spełniła. Nie spolszczyła przecież ludności białoruskiej po Berezyne, ukraińskiej po Dniepr lub i dalej. Czego tedy warta? Jakąż może mieć dziś rację bytu? *Zadnej!* Winna odejść w niebyt, jako Polsce niepotrzebna.

Nieraz się przeciwstawia dziejom załamania się Unji na Litwie i Białorusi — historję męczeństwa unitów polskich. Otóż trzeba tu pamiętać, że łatwo było unickim Podlasiakom trzymać się polskości, jako że oni już byli Polakami, nawet będąc prawosławnymi. Unja wzmocniła ich polskość. Tymczasem Białorusinów Unja na Polaków przerobić jeszcze nie zdążyła, a być sobą im znowu nie pozwoliła. Węta, o tak mętnej ideologii narodowej i religijnej, ciemna masa łatwiej stała się łupem własnych zdrajców i obcych prześladowców.

O ile prof. Oskar Halecki, ten prawdziwy historyk, cieszący się dziś sławą europejską, broni obecnie unji, o tyle pięknoduch p. Ch., jako historyk dyletant, zaszkodził znacznie akcji unijnej, zęgmatawawszy w niej nawet niekiedy rzeczy proste a oczywiste.

Wypromowanie o. Stopnickiego niemal na... Polaka męczennika i w konsekwencji udekorowanie piersi jego złotym krzyżem zasługi jest właśnie jednym z b. wielu przykładów powyższego.

Adolf Kunica.

Odrębny pogląd.

W „Dniu Polskim”, warszawskim organie konserwatywnym, reprezentującym interesy ziemiaństwa z b. Kongresówki, p. Adam Romer zamieścił dłuższy artykuł p. t. „Nowa orientacja Litwy”, oparty na informacjach pewnej osobistości z Litwy, „łączącej narodowość polską z dobrymi stosunkami z kierowniczymi mężami stanu” w Kownie.

Zdaniem owego informatora zmieniło się zasadniczo położenie mniejszości polskiej.

„Nie przywrócono co prawda szkół polskich, skasowanych za regime'u Waldemarasa, ale przynajmniej byt pozostałych polskich szkół średnich w Kownie i Poniewieżu, oraz szkół ludowych wydaje się być całkowicie zapewnionym. Ustaly zwłaszcza całkowicie dawniej tak bezustanne i dotkliwe szkany względem polskich nauczycieli i dzieci. Również zmienił się duch na uniwersytecie kowieńskim i w t. zw. Akademji Datnowskiej (Rolniczej), gdzie młodzież polska może obecnie kształcić się swobodnie, nie będąc już więcej narażoną na pogromy i przeszkody w jej życiu kulturalno-narodowym”.

Bardzo poważnym dowodem zmiany orientacji Litwy jest obecna jej polityka rolna.

„Kryzys gospodarczy mógłby się stać łatwo w ręku rządu polakożerczego narzędziem do zupełnego zgniecenia polskiego stanu posiadania. — Wszyscy rolnicy, wielcy i mali, są bowiem tak zadłużeni, że najmniejsze chociażby forytowanie Litwinów i upośledzanie Polaków mogłoby dla tych ostatnich stać się katastrofą.

Tymczasem rząd nie robi obecnie najmniejszej różnicy pomiędzy Polakami a Litwinami w akcji oddłużania rolnictwa. Bank Państwa udziela za pośrednictwem Banku Ziemskiego kredytów na cele ocalenia gospodarstw rolnych, dla umożliwienia im spłaty wierzytelności krótkoterminowych.

Kredyty te udzielane są na 23 lata, na 6% rocznie wraz z amortyzacją.

Starania o pomoc rządową niczem nie są utrudnione. Biurokracji prawie няма żadnej i wszystko odbywa się dość patryarchalnie: dygnitarze są łatwo przystępni. Nie wzdragają się oni też obecnie rozmawiać po polsku z przedstawicielami mniejszości polskiej. — Jakgdyby magicznym wyrazem stało się dziś dla nich żądanie sprawiedliwego i obiektywnego stosunku, czego nieraz dają dowody”.

Omówiwszy następnie takie zarządzenia rządu litewskiego, jak uzupełnienie pozostawionych wywłaszczonym obywatelom 80 hektarowych resztówek do wysokości 150 hektarów, drobne odszkodowanie w naturze za wywłaszczone grunty, projekt pieniężnego odszkodowania i t. p. nieznany ów informator konkluduje nieoczekiwanie:

„Nie ulega wątpliwości, że dbałość obecnego rządu premjera Tubelisa o sprawiedliwy stosunek do mniejszości polskiej poszłaby jeszcze znacznie dalej, gdyby nie względy na nieprzebiegającą w środkach agitację demagogiczną stronnictw opozycyjnych, głównie chrześcijańskiej demokracji i ludowców”.

A w opinji polskiej utarło się mniemanie, że właśnie nieprzejednanymi nacjonalistami i przeciwnikami zbliżenia polsko-litewskiego są będący obecnie u władzy „tautininkowie”, natomiast, że opozycja jest bardziej uścipliwa i skłonna do szukania zgody z Polską.

I komuż tu wierzyć?

Książki nadesłane do Redakcji.

Dunajówna Marja. *Tomasz Zan.* Lata uniwersyteckie 1815-1824. Rozprawy i materiały Wydziału I T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie. T. V. Zesz. I. Wilno. 1933.

Zdziechowski Marjan. *Węgry i dookoła Węgier.* Szkice polityczno-literackie. Wilno. 1933.

Obrazy z życia chłopów XVIII-go wieku. (Blisko 200 lat temu). Opowiedział Chrystian Donalitus (Donalejtis, Duonaitis) 1714-1760. **Rok.** Z V-go wydania litewskiego Szlapeliśa przełożył K. P. Warszawa. 1933.

Kalendarz Prawosławny na 1934 rok. Wydawca „Głos Prawosławia”. Spółdzielnia Wydawnicza w Tomaszowie Lubelskim.

Wszystkim czytelnikom i współpracownikom naszego pisma przesyłamy skromne życzenie: aby nadchodzący rok nie był gorszy od ubiegłego.